

TROCHĘ HISTORII

ŚWIATŁO W TUNELU

CZYLI KILKANAŚCIE LAT OSOBISTYCH DOŚWIADCZEŃ

TEKST I ZDJĘCIA / SERGIUSZ MITYN



W DZISIEJSZYM ZWARIOWANYM ŚWIECIE NATARCZYWA REKLAMA JEST SKUTECZNIE WSPIERANA PRZEZ PRAKTYCZNIE CAŁKOWITY BRAK RZETELNYCH OCEN. **DOTYCZY TO DOSŁOWNIE WSZYSTKIEGO**, JEDNAK SPRZĘTU W SZCZEGÓLNOŚCI.

Pochwalenie jakiegoś modelu, marki, czegokolwiek wywołuje skojarzenie z recenzją sponsorowaną, pisaną na zlecenie producenta lub regionalnego dystrybutora. Negatywne oceny czy recenzje są praktycznie czymś niespotykanym, a przecież każdy wie, że półki sklepowe, realne i wirtualne, aż uginają się od chłamu, który nie ma prawa przetrwać dłużej niż tydzień od końca okresu gwarancji!

Właśnie dlatego, zabierając się za artykuł o wyrobach chińskiej firmy FENIX, znalazłem się w dość trudnej sytuacji. Rzetelne i uczciwe podejście do sprawy wymaga, bym napisał praktycznie same superlatywy, bo nawet „czepiając się na siłę”, po prostu nie widzę niczego, za co mógłbym je skrytykować. Z drugiej strony, czym mój artykuł będzie się wówczas różnił od wszechobecnego „słodzenia”? A tym, że znam wyroby tej firmy praktycznie od chwili jej powstania, miałem możliwość osobiście przetestować i ocenić co najmniej kilkanaście wzorów, gdyż korzystam z dwóch latarek FENIX-a od ponad 12 lat,

FENIX to, jak już wspominałem, firma chińska, która od samego początku swego istnienia produkuje latarki pod własną marką i ową markę lansuje. Firma powstała w roku 2004, czyli nawet określenie „młoda” pasuje doń średnio, raczej można by ją nazwać „nieletnią”.

Jakim sposobem weszła na rynek, całkowicie opanowany przez amerykańskich liderów, wtedy jeszcze produkujących latarki z dumnym napisem „made in USA”, i to w czasach, kiedy chińskie wyroby były piętnowane pogardliwym przydomkiem „chińszczyzna”?

A jednak weszła, cicho i skromnie, bez reklamowych wodotrysków i fajerwerków, ale rozsądnie i zdecydowanie. Złożyło się na to wiele czynników, częściowo najwyraźniej przeoczonych albo nawet świadomie ignorowanych przez amerykańskich producentów i projektantów, rozbestwionych renomą, a przede wszystkim zamówieniami rządowymi.

LED-owa rewolucja na rynku oświetlenia przenośnego trwała wówczas w najlepsze. Wytrzymałe, niezawodne i energooszczędne LED-y święciły tryumfy. Odkrywano nowe możliwości użytkowe niedostępne dla latarek z żarówkami, nawet tymi najnowocześniejszymi. Do tego doskonalenie technologii produkcji LED znacznie obniżało koszty ich wytwarzania i otwierało im drogę na szerokie rynki cywilne całego świata.

Nowe możliwości jednak trzeba było dobrze oszacować i odpowiednio wykorzystać. Natomiast błoga drzemka i spoczywanie na laurach, nawet tych jak najbardziej zasłużonych, często nie sprzyja myśleniu perspektywicznemu. Zastąpienie halogenowej żarówki kompaktowej LED-ową i pozostawienie całej reszty konstrukcji latarki bez zmian z perspektywy dnia dzisiejszego wydaje się co najmniej śmieszne, a już w żaden sposób nie może być uznane za rozsądne. Dokładnie w ten sposób zachowywali się czołowi amerykańscy producenci! Co więcej, jedna z najbardziej renomowanych firm na przełomie stuleci, dziś już przysłowiowej świętej pamięci, wyprodukowała nawet moduł świetlny LED w kształcie żarówki, by za jego pomocą „unowocześnić” ich maczugopodobne latarki na trzy baterie R20.

Chińczycy dostrzegli nowe możliwości i zaczęli projektować latarki z założenia opracowane jako LED-owe, nie zaś przerabiać stare żarówkowe. Na rynku ukazało się mnóstwo chińskich latarek umożliwiających stopniowanie wydajności świetlnej za pomocą tego samego włącznika, który włączał i wyłączał urządzenie. Elektroniczne układy stabilizacji napięcia sprawiły, iż latarka zapewniała stałą wydajność świetlną do całkowitego rozładowania baterii zasilających i „padała nagle”, nie zaś „umierała powoli” jak latarki żarówkowe. Nie zawsze były to dobrze zaprojektowane konstrukcje, bowiem trudno uznać za udaną latarkę taką, która przy włączeniu „wali po oczach” maksymalnym dostępnym strumieniem świetlnym, oślepiając nadmiarem światła samego użytkownika, a dopiero potem pozwala zredukować wydajność kolejnymi naciśnięciami włącznika, co oznacza wybieranie poziomów „od góry w dół”. Mechanika włącznika nie zawsze okazywała się niezawodna. Elektronika również nie zawsze działała poprawnie – robiąc sześć lat temu przegląd porównawczy dostępnych na rynku latarek dla rosyjskiego magazynu „Kalashnikov”, ze zdziwieniem przekonałem się, że w wielu latarkach po zastąpieniu baterii jednorazowego użytku akumulatorkami tegoż samego formatu elektronika „głupiała” i z trzech poziomów wydajności świetlnej pozostawał tylko jeden. Różnie bywało, ale były to poszukiwania sposobów wykorzystania nowych możliwości.

Powróćmy jednak do FENIXA. Po raz pierwszy zetknąłem się z tą firmą w roku 2006 na targach IWA w Norymberdze. Dostojnie, lecz bez szalu wyposażone stoisko było obsadzone przez ekipę niemieckiego i europejskiego dystrybutora firmy Berndta Aulera. Brak na stoisku kogokolwiek chociażby z grubszą przypominającego Chińczyka początkowo wprowadził mnie w błąd. Czyżby europejski producent latarek LED? „Nie – sprostował Bernd. – Firma jest chińska i latarki są produkowane w Chinach, my natomiast jesteśmy ich europejskim dystrybutorem”. Pierwszym, co zwróciło moją uwagę w wystawionych na stoisku latarkach, było ich doskonałe zaprojektowanie. Włącznikami ustawiało się poziomy wydajności świetlnej „od dołu w górę”, można było zapalić latarki

na chwilę przy lekkim naciśnięciu i kliknąć stałe świecenie przy mocniejszym dociśnięciu. Były dobrze zabezpieczone przed przypadkowym naciśnięciem, a jednocześnie wygodne w operowaniu. Parametry techniczne podano w opisach ściśle i konkretnie. Zasilano się je niedrogimi i powszechnie dostępnymi baterijkami AA (R6) albo akumulatorkami tego typu. Poziomów wydajności świetlnej było aż nadto – cztery plus tzw. strobo, czyli tryb stroboskopowy, mający formę częstego migania z maksymalną wydajnością (który, swoją drogą, uważam za raczej zbędny). Do tego każda latarka klasy turystycznej była sprzedawana w komplecie z temblakiem, pochawką do noszenia na pasie, a nawet zapasowymi gumowymi uszczelkami styków obudowy O-ring (przyznam, że po moje jeszcze nie musiałem sięgnąć).

Widząc coś, co mi się rzeczywiście spodobało, dosłownie zasypałem Berndta szczegółowymi pytaniami technicznymi. Najwyraźniej go znużyłem, bo w końcu przyniósł z zaplecza latarkę L2D, podał mi i powiedział: „Sam testuj”. I tak się zaprzyjaźniliśmy...

Latarkę tę „testuję” po dziś dzień i to, powiem szczerze, bardzo intensywnie. Parę razy nawet poleciała ze schodów, i to z wysokości znacznie przekraczającej gwarantowany przez producenta pułap wytrzymałości mechanicznej. Latarka jest nie tylko stale noszona, lecz również codziennie używana, w tym kilkakrotnie włączana w różnych trybach wydajności świetlnej. Elektronika działa całkowicie poprawnie, stabilizacja napięcia w miarę rozładowywania się baterii po kolei odcina wyższe poziomy wydajności świetlnej, zachowując stałe świecenie na niższych. Kiedy do dyspozycji pozostaje tylko najniższy tryb, wiadomo, że baterijki wymagają wymiany (a akumulatorki naładowania).

I tak od 12 lat!

Przeszodziłem? ...no cóż. Ale kto nie lubi słodkiego?

W pierwszych wzorach latarek FENIX poziom wydajności świetlnej był regulowany kolejnymi naciśnięciami pojedynczego włącznika na tylnym szczycie obudowy, poprzez wybieranie trybów od najsłabszego do najmocniejszego. Później firma przeszła na system dwuprzyciskowy – przycisk z tyłu obudowy włącza i wyłącza latarkę, natomiast przycisk w pobliżu głowicy zmienia wydajność świetlną. Układ elektroniczny „pamięta” przy jakim poziomie wydajności latarka została wyłączona i kolejne włączenie spowoduje automatyczny wybór właśnie tego trybu, który można dowolnie zmieniać w trakcie świecenia latarki.

